

Dorota Combrzyńska-Nogala

PIES

W CZASACH

ZARAZY



# Miejscówka

Dorota Combrzyńska-Nogala  
**Pies w czasach zarazy**

© by Dorota Combrzyńska-Nogala  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Artur Nowicki

Korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-911-4

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2020  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630 23 81  
www.wydawnictwoliteratura.pl



Tylna ściana naszej kamienicy graniczy z dużym parkiem miejskim. Do tej pory dla wszystkich mieszkańców było to czymś zwyczajnym, chociaż miłym. Kiedy jednak koronawirus, czyli pandemia na całym świecie, zmieniła wszystkim życie, miejscówka okazała się megaważna.

To może ja się przedstawię. Jestem Wiktor i mam trzynaście lat. Mieszkam w oficynie na trzecim, ostatnim piętrze. Wyżej jest tylko strych.

Pierwszego dnia, kiedy okazało się, że zamknięto szkoły, dzieci ogarnęła euforia. Super, to coś wspaniałego! Podejrzewam, że nasi nauczyciele też na chwilę odetchnęli z ulgą. Nie do uwierzenia, że mogliśmy się wtedy cieszyć! Teraz tęsknimy za szkołą.

Po kilku dniach zaczęły się lekcje przez internet. Ciągłe rozmawialiśmy z kumplami przez FB, Instagram albo inne media. No ale potem nagle przestało być fajnie. Szczególnie kiedy wprowadzono zakaz wychodzenia z domu. Można było iść tylko do sklepu spożywczego, do apteki lub do pracy. A na spacer najwyżej z psem. Wszystko, żeby ograniczyć kontakty z potencjalnymi zarażonymi. Testy – niestety – nie były powszechne.

Po jakimś czasie ludzie mieli dosyć, szczególnie kiedy zrobiła się słoneczna, wiosenna pogoda. Z żalem patrzyliśmy na nasz park przez okno. Był dosłownie na wyciągnięcie ręki, a jednak niedostępny.

Wtedy stary pan Kopec z parteru nagle zaczął wychodzić ze swoim psem na długie spacery po parku. Do tej pory wcale tego nie robił, bo mu się nie chciało. Wypuszczał swojego Asa na podwórko i zawsze były o to awantury, bo po nim nie sprzątał. Pies godzinami

wystawał przy furtce i tęsknym wzrokiem wpatrywał się w niedostępny zielony raj po drugiej stronie parkanu. I nagle cud! Stary Kopec ostentacyjnie paradował aleją na tyłach naszej kamienicy i rozkoszował się wiosną. Uwięzionym mieszkańcom kamienicy złość zalewała mózgi.

Widziałem go doskonale z balkonu naszej oficyny. Naprzeciwko taki sam ma moja koleżanka Ninka, więc razem z nudów obserwowaliśmy i komentowaliśmy, co się dzieje. Podwórko jest w kształcie prostokąta. Od strony parku odgradza je parkan z furtką. Mieliśmy blisko. Kiedy wprowadzono kwarantannę, wszystkie alejki opustoszały i tylko pan Kopec oraz kilku innych właścicieli psów z okolicy spacerowało w bezpiecznej od siebie odległości. Generalnie było pusto i głucho.

Po kilku dniach sytuacja uległa pewnej zmianie. Zaczęliśmy widywać znanego wszystkim psa pana Kopia, ale każdy spacer odbywał on z innym sąsiadem z naszej kamienicy.

– Popatrz, Ninka, As rano był na spacerze z Trojanowską, a teraz znowu biega z tym perkusistą Markiem – zauważyłem.

– Ciągłe łązi, furtka nieustannie skrzypi – potwierdziła moje spostrzeżenie.

Okazało się, że Kopec wypożyczał swojego psa na spacer za obiad zamówiony z restauracji. Niektórzy byli oburzeni, bo zawsze wybierał najbardziej wykwintne dania, rzadko chińskie potrawy czy pizzę. Chętnych jednak nie brakowało, chociaż za jego plecami narzekali, iż jest tak chciwy, że w głowie się to nie mieści. Pan Kopec znowu przestał wychodzić z domu, tylko podawał smycz Asa z psem na końcu i kartkę z wybranym daniem.

My z Ninką nie oburzaliśmy się na niego. Wiedzieliśmy, że jest biednym emerytem. Nie miał nikogo, kto mógłby o niego zadbać, bo jest dość wredny. Radził sobie, jak mógł. A jego As był jedyną istotą, której epidemia zmieniła życie na lepsze.

## Zaspacerowany



Muszę przyznać, że nie tylko Asowi, ale i mnie epidemia w jakiś sposób ułatwiła życie. Nie wiadomo, czy gdyby było normalnie, miałbym tyle odwagi, żeby zagadać do Ninki.

Miała jasne włosy związane w śmieszny kucyk na czubku głowy. Od razu wpadła mi w oko. Wprowadziła się do naszej kamienicy tydzień po feriach zimowych. Zauważyłem to, bo przecież okna nowych

sąsiadów były naprzeciwko naszych. Obserwowałem, jak ustawiają meble, wieszają obrazki, stawiają na parapetach doniczki ze storczykami. Widocznie któraś z nich była wielbicielek tych kwiatów. Pewnie mama tej nowej. Miały też wielkiego, pręgowanego kota, który natychmiast uwaliał się między kwiatami i z uwagą obserwował każde wychodzące na podwórko okno.

Mijaliśmy się czasem z Ninką w bramie, ale trochę się wstydziłem zagadać. Dopiero kiedy zamknęli szkołę, zacząłem częściej wychodzić na balkon. I Ninka tak samo. Tak to się zaczęło.

Dzisiaj padł mi internet. Nie mogłem odrobić lekcji. Może i dobrze, bo tyle tego było, że miałem już dosyć.

Postałem na balkonie, pogapiłem się na park, a kiedy pokazała się Ninka, razem ponarzekaliśmy sobie na nasz domowy areszt.

– Ninka, pożyczmy Asa i przejdźmy się kawałek – zaproponowałem. – Zaraz zwariuję!

Wtedy jeszcze dzieci mogły wychodzić z domu z psem na spacer i do sklepu.

– Dobrze. Mam jakieś drobniaki. Może pan Kopec nie zażyczy sobie nie wiadomo czego. Wszyscy mówią, że jest wyjątkowo nieużyty.

Poszliśmy. Do jego mieszkania na parterze wchodziło się bezpośrednio z podwórka. Otworzył ze zbołałą miną i oparł się ciężko o framugę. Pasek jadowicie zielonego szlafroka zwisał mu aż do bamboszy z wywiniętymi figlarnie czubami.

– Dzień dobry. Czy możemy iść na spacer z Asem?

– Nie – odpowiedział kategorycznie. – Zjadłem dzisiaj już trzy obiady i mam niestrawność. A on! Spójrzcie na to biedne zwierzę – wskazał psa teatralnym gestem, kiedy przybiegł z głębi ciemnego korytarza. – Zaspacerowany. Na amen zaspacerowany.

Rzeczywiście, As nie wyglądał już jak spasiony serdel. Pękate boki zapadły się i prezentował się naprawdę doskonale. Za to jego właściciel miał zadyszkę, a brzuch mu wyraźnie urósł, rozpychając się między połami szlafroka.

– Prosimy! Panie Kopec! Nie możemy już! – błagałem. – Zapłacimy.

– Nie... – mruknął bez przekonania. – To byłoby nieetyczne... Brać od dzieci pieniądze w czasach

zarazy. Nie, nie, nie – przekonywał sam siebie, żeby czasem nie zmienić zdania. – Nie! Po prostu nie! Koniec, kropka!

– To możemy w ramach sąsiedzkiej pomocy coś załatwić.

– Ale co? – łypnął na nas podejrzliwie, a w jego oczach już było widać, że chce na tym dobrze wyjść.

– No... – zaczęła Ninka. – Moja mama namaluje pana portret, albo portret Asa. Albo podwójny – podniosła palec do góry, co wyglądało bardzo, bardzo poważnie.

– Co ty powiesz? – O dziwo się zainteresował. – A twoja mama potrafi?

– Jest wielką malarką! – Ninka zadarła dumnie głowę i zaczęła wychwalać zalety mamy.

– Dobrze, dobrze – zgodził się po chwili. – Podwójny. Mój i Asa.

– To chyba za kilka spacerów? – wtrąciłem oburzony na takie zdzierstwo.

– A może być za kilka! – Kopec oddał nam smycz. Wybiegliśmy uszczęśliwieni na ulicę.

– Twoja mama naprawdę namaluje ten obraz? – spytałem.

– Coś ty! Nie ma czasu. Ja go namaluję. Najwyżej mi trochę pomoże.

Spacer był naprawdę wspaniały. Do tej pory nie zwracaliśmy uwagi na to, że ulice miasta są takie piękne. Wszędzie duuużo miejsca i świetny park. Chodziliśmy i chodziliśmy zadowoleni, że tak nam się z Asem udało.

Nie mieliśmy pojęcia, że to nasz ostatni spacer. Wkrótce wprowadzono nowe zakazy.

## Wyprawa do sklepu



Dzisiaj, zanim usiadłem do zdalnych lekcji, chciałem sobie popatrzeć na niedostępny już dla wszystkich park. Wyszedłem na balkon i pomachałem do Ninki. Pojawiła się zapłakana.

– Co się stało? – spytałem zaniepokojony.

– Mama złamała nogę. To koniec! Nawet zakupów nie będziemy mogły zrobić. A muszę iść do apteki po lekarstwa!!! – ryczała.

– Nie macie rodziny? – Wiedziałem już, że wychowuje ją sama mama, ale żeby tak nie mieć kompletnie nikogo?

– W Łodzi nie. Przeprowadziłyśmy się z mamą z Gdyni. Idę. Najwyżej mnie złapią i zapłacimy karę... Buuu, tylko za co? Za co? – wyrzuciła ręce do nieba jak postać z kreskówki. – Przeprowadzka kosztowała mnóstwo pieniędzy.

– Pójdę z moim tatą, jak wróci z pracy – obiecałem.

– Mama nie może czekać. Skończyły nam się nawet środki przeciwbólowe.

Zaproponowałem, że z nią pójdę. Będę wypatrywał policjantów i strażników miejskich. To może być nawet ciekawe.

Właśnie szliśmy przez podwórko, kiedy okno pana Kopcia otworzyło się gwałtownie, a on sam zawołał konspiracyjnym tonem:

– Dzieciaki, kupcie mi, proszę, flaszkę czerwonego wina i aspirynę. A za resztę lody, czy co tam... – machnął zwitkiem banknotów.

– Dzień dobry. To pan nie wie, że dzieciom teraz nie wolno wychodzić bez opieki na ulicę ani do par-

ku, ani do lasu? Grożą za to straszne kary. A wina to już przed pandemią dzieci nie mogły kupować – pouczyłem pana Kopcia.

– Co ty powiesz? – zdumiał się. – Nawet w parku pograć w piłę nie możecie?

– Nie możemy. Nawet iść z psem na spacer.

– A na cmentarz? – spytał, bo raz do roku, zawsze wiosną, spotykał się z kumplami nad grobem przyjaciela, a to wypadło jakoś niedługo.

– Na cmentarz można.

– Na cmentarz można, a do lasu nie. To bardzo zastanawiające. Czuję, że moje prawa są bardzo ograniczane – zirytował się i natychmiast nabrał ochoty na przechadzkę. – To mam areszt?

– Może pan wyjść do sklepu, apteki, pracy, w ważnych życiowych sprawach, z psem lub dziećmi na spacer – wymienialiśmy z Ninką jedno przez drugie nowe rozporządzenia. – Tak więc sam pan musi sobie kupić to wino. Możemy iść z panem, bo ja muszę do apteki. Oczywiście w odległości dwóch metrów.

– Co? – wytrzeszczył swoje trochę wylupiaste oczy i odgarnął białe jak mleko włosy z twarzy, co mu je wiatr zmierzwił.

– Dwa metry. Nawet domownicy – wyjaśniła Ninka. – To co? Idzie pan, bo mi się spieszy? Mamy zapasową maseczkę, pożyczymy panu. A rękawiczki będą w sklepie.

Powiedział, żebyśmy mu dali pięć minut. Czekał z niecierpliwością. W końcu wyszedł ubrany w długi płaszcz, zawinięty wielokrotnie wokół szyi i czapkę uszatkę. A pod pachą trzymał dwa bambusowe kijki.

– Dwa metry – sprawdziłem! Pożyczyłem sobie od kwiatków – oznajmił.

Patrzyliśmy na niego, nie wiedząc, o co mu chodzi. Okazało się, że zamierza ściśle przestrzegać tych dwóch metrów, więc wyglądało to tak: najpierw szedł pan Kopeć z powiewającymi energicznie kłapami czapki, w jednej ręce trzymał torbę na zakupy, a w drugiej kijek z Ninką, która ścisnęła drugi kijek ze mną na końcu. Ja z kolei ciągnąłem za sobą Asa na smyczy. Jak w tym wierszu o rzepce. Szliśmy szybko, ze wstydliwie opuszczonymi głowami, budząc ciekawość nielicznych przechodniów i dużą wesołość jednego takiego łobuza Adriana z kamienicy obok, którego wszyscy się bali.

– Cudoki! Patrzcie, ludzie! Cudoki! – zaśmiał się.